WIEDŹMY Z MANNINGTREE

A.K. BLAKEMORE

MOVA

WIEDŹMY Z MANNINGTREE

A.K. BLAKEMORE

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Gardner

MOVA

TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Manningtree Witches

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Monika Rossiter
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Bożena Sęk
Projekt okładki: Tomasz Majewski
Na okładce wykorzystano ilustrację z książki *Snowdrop: Or The Adventures Of A White Rabbit*, T. Nelson and Sons, Paternoster Row, London 1873; © duncan1890 / istockphoto.com
DTP: pagegraph.pl

THE MANNINGTREE WITCHES
Copyright © 2021 by A.K. Blakemore

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo Kobiece sp. z o.o.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-8321-012-4

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl

Niegrzeczne Książki

1

Matka

Szczyt wzgórza dopiero wyłania się z porannej ćmy, a wciąż wilgotne pąsowiejące kwiaty psiej róży zaczynają rozchylać płatki. Zdążyłam się już obudzić i teraz oblekam suknię, jedyną, jaką mam. Ona nadal śpi. Wszetecznica. Ochlajtuska. Matka. Staję w nogach łóżka i przyglądam się jej twarzy. Wpadający przez okno promień słońca przecina jej lewy policzek. Ciemne włosy rozrzucone na poduszce, rozkocudane i tłuste, miejscami siwe.

Pogrążona we śnie roztacza charakterystyczną woń. Trudną do sprecyzowania, jakby męską. Podobny zapach czułam, gdym jako mała dziewczynka biegła do gospody Red Lion*, skąd miałam sprowadzić ojca na kolację. W karczmie, gdzie panował gwar i unosiła się kwaskowata nuta cienkusza, wesół ojciec porywał mnie na ręce i całował w czoło, chrzęszcząc mokrą od deszczu kapotą, która nie zdążyła wyschnąć, odkąd zszedł z pańskiego. Później wspinaliśmy się razem na wzgórze Lawford, ja z rączką w jego dłoni. Było to piętnaście wiosen temu – tyle, ile nie żyje ojciec.

---

* Red Lion – dosł. Czerwony Lew; tu: gospoda Pod Czerwonym Lwem. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Od tamtej pory obie z macierzą – która chrapie tak, że obudziłaby zmarłego – śpimy razem w izbie domu wzniesionego dla nas przez mężczyznę martwego od półtorej dekady. Izby są trzy, wszystkie nędznie umeblowane; w tej stoją dwa łóżka, jedno okno wygląda na świat, ściany powleka biały tynk z sinawym nalotem pleśni. Przypuszczam, że wewnątrz ścian coś żyje. Dobrze, a już na pewno nie gorzej aniżeli trudną do sprecyzowania męską matczyną woń znam wszelkie odgłosy, które wydaje jej ciało. Byłam w nim kiedyś, aczkolwiek dziwnie mi o tym myśleć. Ciało z ciała.

Choć chcę uciec wzrokiem, nie robię tego. Wpatruję się w matczyną twarz naprawdę długo. Jest tak nieruchoma, że w pierwszej chwili może się wydawać maską pośmiertną bądź obliczem posągu. Ale nawet w tym bezruchu daleko jej do spokoju typowego dla pomników czy to w kaplicy, czy w kościele w Manningtree bądź w Mistley (co nie znaczy, że w hrabstwie Essex pozostało ich dużo po tym, jak Dowsing* i jego zwolennicy zrobili swoje, strącając figury niefrasobliwych świętych z piedestałów u Świętej Marii i wpychając je do ognisk rozpalonych na błoniach). To nic, że śpi; góry i doliny matczynej fizjonomii odmalowują jej charakter niczym odcisk maśniczki imię maślarza na ohydnej osełce. Na chrzcie otrzymała imię Anne, po mężu nazywa się West, a wołają ją Beldam** West. Pasuje to do niej, szczwanej i bezecnej, pasuje do jej dziobatej twarzy, która przypomina zapomniane przez Boga i ludzi miejsce zryte meteorami spadającymi z nieba.

---

* Dowsing – właśc. William Dowsing (1596–1668) – działający głównie we wschodniej Anglii purytanin i najbardziej znany ikonoklasta w czasie angielskiej wojny domowej (1642–1651).

** *Beldam* (ang.) – babka, starucha, jędza, wiedźma.

Beldam… *Belle dame**… *Belle* to po francusku „piękna" (macierz nie jest piękna, choć krążą słuchy, że kiedyś taka była). *Dame* przywodzi na myśl angielskie przekleństwo *damn***. Czy jest przeklęta? Co do tego wolę się nie wypowiadać.

Póki śpi, mogę się na nią gapić do woli, rozbierać część po części. Nos ma długi, krzywo zrośnięty po złamaniu. Był złamany co najmniej raz – cztery wiosny temu, w wyniku najwspanialszego prawego sierpowego w wykonaniu pani Rawbood, gdy pewnego popołudnia późną wiosną pokłóciły się w herbarium. Nie pamiętam, o co im poszło akurat przy tamtej okazji, ale oczyma wyobraźni wciąż widzę mężczyzn, którzy przy ogrodzeniu pohukiwali i buczeli, zagrzewając obie gospodynie do walki. W pewnym momencie padł cios. Macierz, z dłonią przytkniętą do twarzy, z której lała się lepka krew, zatoczyła się do tyłu na kwitnący niebiesko krzak rozmarynu, rzycią wzbudzając słodkawy zapach. Do dziś, gdy czuję rozmaryn, ledwie potrafię się powstrzymać od śmiechu. Pani Rawbood oczywiście już nie żyje – jak większość ludzi, którzy nieroztropnie weszli macierzy w drogę. Czy to nie dziwne, jak jej zapach i wygląd przenosi mnie w inne miejsca, inne czasy? A może me rozumienie innych miejsc i innych czasów ściśle się wiąże z jej zapachem i wyglądem; może to właśnie znaczy być córką?

Wystarczy tych dygresji. Matczyne policzki są zapadnięte, skóra na nich napięta i szara. Broda i skroń bieleją w plamie słońca wpadającego przez okno, światło wydobywa też głębię zmarszczek – w kącikach oczu i tych wokół ust, które przypominają kocie wąsy. Czoło macierz ma zaróżowione od opalenizny, szyję

* *Belle dame* (fr.) – piękna pani. Wymowa identyczna jak ang. „beldam".

** *Damn* (ang.) – cholera (przekleństwo), ale też: przeklęty. Wymowa niemal identyczna jak fr. „dame".

zwiotczałą i pokrytą fałdami, jakby chciała się schować przed złym okiem i ciętym językiem nastawionych nieprzychylnie sąsiadek. Ta szyja, workowata, odbarwiona i odrażająca, przywodzi mi na myśl podgardle tłustej maciory.

Najgorsze są usta, rozchylone we śnie. Spierzchnięte wargi, popękane kąciki i zbierająca się w nich wydzielina. Zaglądając do środka przez te czerwone wrota, można zobaczyć aksamitne wnętrze, w którym dominują zęby całe w plamach od żucia tytoniu i wilgotny korzeń języka, poruszający się, jakby śniła jej się rozmowa albo co bardziej prawdopodobne – kłótnia.

Oto jaka nasuwa mi się niechrześcijańska myśl. Szkoda, że nie mam czegoś okropnego, co mogłabym jej włożyć do ust. Wyobrażam sobie, jak upuszczam do nich trzymaną za ogon wijącą się mysz. Albo nie. Wlewam ciepłe siki konia, wrzucam królicze bobki, raczę macierz gorącą świńską krwią, świeżo utoczoną przy biciu…

Macierz otwiera oczy i cicho pyta:

– Rebecca? Becky? To ty?

– Tak, to ja.

Mamroce coś, czego nie jestem w stanie dosłyszeć, i uciska palcami skroń. Wydaje z siebie jęk.

– Nigdy się nie zestarzej, Rebecco – mówi i zwilża wargi. – Spójrz na mnie, dziewczyno. Wszystko mnie boli na samą myśl, że mam wstać i iść do pracy.

Odpowiadam, że wszystko ją boli raczej przez piwo, które wypiła u Edwardsów, a nie z powodu czekającej ją uczciwej pracy. Macierz bowiem nie wylewa za kołnierz. Często wręcz mówi, że dobry napitek niesie większą aniżeli Bóg pociechę biedakowi („czy biedaczce, skoro już o tym mowa", dopowiada z mrugnięciem oka czarnego jak węgiel).

– Bacz, jak się do mnie zwracasz! – odwarkuje, dokładnie tak się wyrażając: „Bacz!”, całkiem jakby była Mojżeszem. Potrafi być rozmemłana i wyniosła w tej samej chwili. – I ani się waż wymieniać tego nazwiska w mym domu!

Pytam, czy nazwisko „Hobday” jest miłe uszom jej i Boga.

– Bo muszę zanieść wypraną pościel do domu Hobdayów.

Macierz już wstała, teraz po omacku szuka nocnika. Kuca nad nim i zadarłszy pomiętą koszulę, próbuje sobie ulżyć. Po nocy spędzonej na piciu jej siki mają zawsze kolor ciemnego żółtka, do tego roztaczają drożdżową woń, która sprawia, że w całej izbie zaczyna śmierdzieć. Kojarzę ten odór z piątkami, a zwykle też z sobotami. Kończy ze stęknięciem, otrzepuje się paroma potrząśnięciami rzyci, po czym gramoli się z powrotem do łóżka. W izbie jest gorąco nie do wytrzymania, okno wychodzi na wschód. Próżniaczka!

– Zabierz dla Bess trochę owsianki – rzuca, ziewając.

To powiedziawszy, kładzie się na wznak i naciąga kołdrę pod brodę. Choć zamknęła już oczy, czekam w nogach łóżka na dalsze polecenia lub przekleństwa, nic więcej jednakowoż od niej nie słyszę.

Vinegar Tom* wpada przez otwarte drzwi i wskakuje na łóżko macierzy. Miauknięciem daje mi do zrozumienia, że mogę odejść, po czym opiera się o jej biodro i zaczyna zlizywać z futerka letnią noc. Macierz wyciąga rękę, żeby podrapać kota za uszami. Mamroce przy tym:

– Co za zuchwałe dziewczynisko. Nie dość, że ma dwie lewe ręce, to jeszcze rusza się jak ślimak…

---

* Vinegar Tom – tu: imię własne kota należącego do matki narratorki; w źródłach zachowało się jako imię rzekomego chowańca w postaci psa należącego do Elizabeth Clarke.

Cieszę się, kiedy zamykam za sobą drzwi, odgradzając się od istoty, która dała mi życie.

Jest wcześnie rano. Na horyzoncie osiada niczym piana z mleka duża ładna chmura. Ledwie znajdę się na podwórku, jedna z kur robi w mą stronę niepewny krok, po czym przekrzywia łepek zupełnie jak kobieta w przewspaniałej sukni, która musi przystanąć, żeby wytrząsnąć kamyk z pantofla.

Sięgnij po więcej!

MOVA

www.mova.com.pl

facebook.com/wydawnictwo.mova

instagram.com/wydawnictwomova